Nr. 46. Rok II.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal. czyli 1 złr. 50 cent. w. a.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

Ogłoszenia po $1^1/_2$ sgr od drobnego wiersza.

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 16 listopada 1872.

Ul. Fryderykowska Nr. 27.

Uwagi nad wyobraźnią.

Przez
Juljana Ochorowicza.

(Dokończenie.)

Wspomniałem nawiasem, że tworzenie mozajek duchowych należy do działu fantazji. Jeżeli wyobraźnia jest żywą pamięcią, to fantazja jest wyobraźnią twórczą. Wyobraźnia w ścisłém znaczeniu tego wyrazu, nosi na sobie cechę bierności. Albo wprost odbija obrazy świata zewnętrznego, albo też pozwala im zlewać się w pojęcia — ale nie występuje nigdy jako władza czynna, twórcza. Stając się czynną, twórczą, wyobraźnia przybiera nazwę fantazji. Fantazja wprawia w ruch wyobrażenia, kombinuje je z sobą w sposób najrozmaitszy — i jeśli rolę pamięci w naszym umyśle można porównać z rolą szkła fotograficznego, które obrazy utrwala i przechowuje a rolę wyobraźni z działaniem zwierciadła, które odbija i uprzytomnia obrazy, nie mogąc ich jednak zachować — to działalność fantazji uprzytomni nam przyrząd zwany kalejdoskopem, który z drobnych, najrozmaiciéj zabarwionych kamyczków i szkiełek tworzy obrazy złożone organicznéj a nawet estetycznéj całości.

O ile wyobraźnia ma charakter statyczny, o tyle fantazja — dynamiczny. O ile wyobraźnia jest odbiciem rzeczywistości — o tyle fantazja usiłuje ją zawsze przeinaczyć na swój sposób. Fantazja jest matką ideałów. Z kombinacji wyobrażeń i pojęć tworzy ona całkiém nowe, złożone utwory duchowe — a działa pod tym względem z całą swobodą, na jaką tylko kojarzenie się wyobrażeń i pojęć pozwala; — i sama przez się doszłaby w téj swojéj swobodzie do zupełnéj, bezładnéj samowoli, gdyby nad nią nie panował: rozum. On to dopóki działa, nie pozwala fantazji bujać z wyobrażeniami samopas, lecz stawia ich harcom granice, a często nawet, wprost wybrawszy jedno z pojęć za przewodnika — innym około nich skupiać się nakazuje. Każde odstępstwo od takiéj umysłowéj koncentracji, każde rozprzężenie takiego systemu — dowodzi, albo dobrowolnéj abdykacji samego rozumu, jak to ma miejsce w marzeniu — albo też komunistycznéj rewolucji w państwie fantazji — któréj rozum zapobiedz już nie może — jak to ma miejsce w obłąkaniu.

Ponieważ jednak nie jesteśmy ani w jednym, ani w drugim przypadku, wróćmy przeto do naszego przykładu, który zgodnie z powyższém określeniem działań rozumowych stał się osią naszéj pogadanki. W przykładzie tym powiedziano:

„W téj chwili zamykam oczy, a pomimo to w myśli znajduję uprzytomnioną i t. d.“

Czytając zdanie: „w myśli znajduję uprzytomnioną i t. d.“ czytelnik doskonale rozumie o co chodzi. A jednak owego „uprzytomnienia w myśli“ nigdy i nigdzie nie widział — ani u mnie, który to piszę — ani u kogokolwiek bądź innego — a tém mniéj w naturze martwéj. Jakże bowiem można widzieć „uprzytomnienie w myśli!“ Jest to wprawdzie objaw rzeczywisty — boć zkądżebyś, łaskawy czytelniku, wiedział o co chodzi — ale z tém wszystkiém nie jest to objaw dający się ocenić zmysłami. Człowieka zamyślonego, z zamkniętemi oczyma widzieliśmy nieraz, możemy go więc sobie wyobrazić, ale zkądże wiemy o tém, co to jest uprzytomniać w umyśle?

Oczywiście, tylko z obserwacji samego siebie.

Nikt moich myśli nie widział, ani ja niczyich nie widziałem — ale za to ja sam znam moje myśli i każdy z nas zna swoje własne.

Jedném słowém oprócz doświadczenia zmysłowego, jest jeszcze inne źródło naszych wyobrażeń i pojęć: doświadczenie wewnętrzne. Z niego to wyobra-

źnia nasza czerpie pojęcia dotyczące różnych uczuciowych i rozumowych stanów naszéj duszy — do rzędu których należy właśnie i owo „uprzytomnienie w umyśle.“

Cała logika, jako nauka, spoczywa na owém doświadczeniu wewnętrzném. Badając jéj prawa, posiłkujemy się wprawdzie przeważnie p i s m e m, które logiczny układ myśli utrwala i dostępniejszym czyni — niemniéj jednak już samo to badanie z konieczności oprzeć się musi na wewnętrznéj wiedzy o tém, co to jest myśl, co to jest rozumowanie, założenie, wniosek. Pojęcia te powstały w nas za sprawą doświadczenia wewnętrznego — a pożycia z ludźmi, słuchanie i czytanie nadało im tylko więcéj wyrazistości i mocy.

Otóż tedy wyobraźnia nasza może nam odtwarzać i uprzytomnieć w umyśle nietylko zmysłowe, lecz i czysto umysłowe wyobrażenia — i to stanowi czwartą jéj właściwość.

Tym sposobem czytający zdanie: „uprzytomniam sobie w umyśle“ — wié o co chodzi.

Podobnież każdy zrozumiał i uznał fakt wyrażony w następnych słowach przytoczonego wyżéj przykładu. Powiedziano tam, że „sprzęty stojące na stole mam w umyśle uprzytomnione prawie tak dokładnie, jak gdybym je widział, jak gdybym się ich dotykał.“ Kto przeczytał powyższe słowa, ten je zrozumiał od razu, a zrozumiawszy, zgodził się na wyrażone w nich zdanie. Czego to dowodzi? To dowodzi, że wyobraźnia czytelnika odtworzyła duchowy proces porównywania, dokonany w obcym umyśle. Ja porównywam wrażenie zmysłowe (widok sprzętów) ze śladem tego wrażenia (wyobrażenie sprzętów) i wydaję sąd — a czytelnik w myśli swojéj odtwarza ten proces porównywania i sądzenia — i zgadza się na wniosek. W tém ostatniém spostrzeżeniu wyszliśmy już zupełnie z granic zmysłowości.

Ale oto przedstawia się nam nowa sposobność do obserwacji.

Czytelnik mój, jeśli jest przenikliwym, o czém nie wątpię, robi mi zarzut następujący:

Powiadasz pan, że „porównywasz widok sprzętów ze śladem, jaki ten widok zostawia w umyśle.“ Jakże to być może? Skoro wyobrażam patrząc — nie mogę wyobrażać tak, jak gdybym nie patrzał — a zatém nie mogę porównywać jednego stanu z drugim, gdy zaś po upływie pewnego czasu zamknąwszy oczy wspominam to com widział, to jakże mogę porównywać owo wspomnienie ze śladem, jaki ów widok pozostawił w moim umyśle, skoro właśnie ów ślad jest owém wspomnieniem, a owo wspomnienie owym śladem. A = A. — ?

Przyznam ci się kochany czytelniku, żeś mnie zakłopotał swoim zarzutem.

W saméj rzeczy, gdy patrzę i widzę, czyli wyobrażam sobie rozstawione na stole sprzęty, ulegając wrażeniom bezpośrednio od nich pochodzącym — wówczas nie podobna mi wyróżniać a tém samém i porównywać tego co widzę z tém, co wyobrażam patrząc — gdyż to co wyobrażam patrząc, jest właśnie tém, co widzę. — Jeśli zaś przestanę patrzeć i widzieć, nie przestając wyobrażać, to wprawdzie wówczas to co wyobrażam będzie niejako oderwaném od tego, com widział, ale znów to com widział nie może być przedstawioném inaczéj, jak w formie śladu, wspomnienia. Jakimże więc sposobem mogę, zamknąwszy oczy, porównywać to wspomnienie, ten ślad, z owém wrażeniem bezpośredniem, z owém bozpośredniem odbiciem, skoro go nie ma i być nie może w umyśle, przy zamkniętych oczach?

Odpowiedź łatwa, jeśli się dobrze zrozumiało to, com powiedział o czterech zasadniczych właściwościach wyobraźni. Wyliczmy je, a potém wrócimy do rzeczy.

Wyobraźnia nasza pozwala nam:

1) Tworzyć w duszy wyobrażenia zmysłowe bezpośrednio (przy pomocy zmysłów).
2) Odtwarzać w duszy wyobrażenia zmysłowe pośrednio (przy pomocy pamięci).
3) Tworzyć z wyobrażeń zmysłowych pojęcia zmysłowe i odtwarzać je.
4) Tworzyć z wyobrażeń zmysłowych i z wyobrażeń umysłowych (doświadczenie wewnętrzne) — pojęcia umysłowe i odtwarzać je.

Któremu z tych procesów przypisać należy rozbierany przez nas fakt? Rozważmy to.

Patrzyłem na sprzęty i widziałem je — zatém powstało w moim umyśle wyobrażenie (proces pierwszy).

Wyobrażenie zdołałem odtworzyć (proces drugi).

Ponieważ nie mamy tu do czynienia z pojęciami ogólnemi, lecz tylko z wyobrażeniami szczegółowemi, zmysłowemi (sprzęty) przeto dwa drugie procesy właściwe naszéj wyobraźni, nie obchodzą nas.

Pozostając zatém w obrębie dwu pierwszych procesów, powtórzmy pytanie, powyżéj pozostawione bez odpowiedzi:

Na jakiéj zasadzie wyobraźnia nasza pozwala nam porównywać i upatrywać różnicę pomiędzy bezpośrednim widokiem rzeczy, a jéj odtworzoném wyobrażeniem?

Gdy patrzę na lampę, obraz jéj jasno, silnie i dobitnie odbija się na siatkówce mego oka. Światło jéj razi mnie.

Gdy zamknę oczy, obraz lampy przez chwilę trwa jeszcze na siatkówce, i to tak wyraźnie, że zdaje mi się, jakobym ją widział przed sobą. Jeszcze nawet obraz ten razi mnie do pewnego stopnia i czuję go w oku.

Po pewnym czasie fosforescencja ta słabnie i niknie. Wówczas gdy w m y ś l i m é j odtworzy się obraz lampy, nie będę go już czuł w oku i nigdy nie będzie on tak wyraźnym, żeby mnie raził podobnie, jak widok bezpośredni, lub nawet chwilę po nim trwająca fosforescencja siatkówki.

Zatém wyobraźnia nasza może uprzytomniać trojakiego rodzaju obrazy.

1) Przedmiotowo-zmysłowe.
2) Podmiotowo-zmysłowe.
3) Podmiotowo-umysłowe.

Wprawdzie pierwsze przechodzą zawsze w drugie i w trzecie, ale nie należy zapominać, że u człowieka dojrzałego w chwili gdy pierwsze powstają, trzecie j u ż s i ę u s t a l i ł y. Za chwilę s p o j r z ę na lampę, ale i teraz nim to uczynię, mogę ją sobie w y o b r a z i ć. W chwili gdy już spoglądam, obraz bezpośredni, jasny, przedmiotowo-zmysłowy tworząc się w moim umyśle, zastaje w nim już poprzednio utworzony podmiotowo-umysłowy obraz téjże lampy. Zatém porównanie jest możliwe.

Lecz — zarzuci mi znowu mój przenikliwy czytelnik — jeśli téj lampy ani żadnéj innéj nigdy w życiu nie widziałem?

Zarzut wcale nie szkodliwy dla powyższéj uwagi — ponieważ niema na świecie takiéj rzeczy, w któréjby przynajmniéj kilka cech nie było nam znanych. Jeżeli nie materjał, z którego jest zrobioną, to jego kształt — jeśli nie kształt, to barwa — jeśli nie identyczna, to przynajmniéj podobna i t. p., a w tym fakcie o który nam chodzi, najlżejsze podobieństwo wystarcza. Najlżejsze podobieństwo pozwoli nam zawnioskować, że jak we wszelkich innych, tak i w tym razie j a ś n i é j s i ę w y o b r a ż a p a t r z ą c, aniżeli w s p o m i n a j ą c r z e c z w i d z i a n ą — że zatém mogę wyobrażać sobie rzeczy p r a w i e tak dokładnie, jak gdybym je widział“ — ale nigdy d o k ł a d n i é j. To téż gdybym był napisał: „zamykam oczy, a pomimo to wyobrażam sobie stojące na stole sprzęty d o k ł a d n i é j, anizeli gdybym je widział“ — w umyśle czytelnika powstałaby natychmiast

opozycja — zaprzeczyłby moim słowom, na téjże samej zasadzie, dla której uznał poprzednie — na zasadzie własnego doświadczenia.

A teraz wybacz mi czytelniku, żem cię zmordował gimnastyką umysłową — i pozwól na zakończenie dorzucić parę refleksji nad całością niniejszego artykułu.

Wszystkie wypowiedziane w nim uwagi obudził szereg liter w pewien sposób dobranych i ułożonych. Ów niezrozumiały, dla nieumiejącego czytać, układ drobnych znaczków, może w umyśle naszym rozbudzić do czynu wszystkie władze ducha — co więcéj, pozwala nam odtworzyć myśl, która zajmowała umysł mędrców starożytności tysiąc i więcéj lat temu — taki sam szereg martwych liter, po upływie lat tysiąca, pozwoli ówczesnemu krytykowi wydać sąd o pracach dzisiejszych filozofów.

OBRAZKI LITEWSKIE.

Ze wspomnień tułacza

Sobarri.

(Ciąg dalszy.)

VI.

Obszerny gmach, zwany kardynalją, gdzie dziś mieści się pocztamt, jest jeden z najstarożytniejszych w Wilnie. Istniał on już w XIV wieku, a od XV stale należał do Radziwiłłów. Biskup wileński, kardynał książę Jerzy Radziwiłł, najmłodszy z synów sławnego Mikołaja Czarnego, mieszkał w tym gmachu, znacznie go rozszerzył i przy nim to nazwany został kardynalją, co i do dziś dnia przetrwało.

W epoce przez nas opisywanéj, t. j. w roku 1838, była tu traktyjernia panny Anny Holsner.

Niech was nie przeraża nazwisko niemieckie. Wilno posiada szczególną zdolność przetwarzania nietylko Niemców, Włochów, ale nawet samych Moskali w dobrych Polaków. Lista męczenników ostatniego powstania najdobitniéj o tém przekonaćby mogła. Ów Abicht, Nikolai, Molinary, Czerniajew, którzy się poświęcili dla sprawy polskiéj, nie noszą przecie polskich nazwisk. A przypomnijmy sobie owych Platerów, Tyzenhauzów, Günterów, Dekeasów, Szoazelów, Morikonich, Romerów, Borchów, Mohlów, Szulców, Korfów, Krauzów, Szmidtów, Popowych, Szmajłów i tylu innych. Wszyscy dziś są najlepszymi Polakami. Nie mówimy już o Tatarach, którzy przechowali do dziś dnia wiarę ojców; ale alkoran czytają po polsku.

Otóż i panna Anna Holsner choć kiedyś tam przodkowie jéj przyszli z Niemiec, ale ona nie umiała nawet ani słowa po niemiecku, była dobrą katoliczką i najlepszą Polką. Mieszkanie przez nią zajmowane składało się z jednego dość dużego salonu i kilku mniejszych pokojów. Tu przedewszystkiém zbierała się młodzież akademicka, palestra, urzędnicy, a nieraz i sam pan profesor zajrzał na kapustkę tuszoną z kiełbasami, albo na przewyborne kołduny litewskie. U panny Anny podawano potrawy proste, ale przedewszystkiém litewskie, zamaszyste, zdrowe. Za złotówkę mogłeś się najeść do syta, a do tego za 3 grosze wypić spory kielich dobréj gorzałki, za drugie 3 grosze dostać szklankę piwa, a za 5 groszy to i filiżankę wybornéj kawy. Lubili téż wszyscy pannę Annę, a znało ją całe miasto, ba! cała niemal Litwa, a ma się rozumieć i ona wszystkich znała. Miała wówczas lat koło 40, wzrostu słusznego, tuszy okazałéj, głosu męzkiego, trochę wrzaskliwego. Mówiła do wszystkich ty, nazywała każdego po imieniu, nieraz porządnie wygderała; — ale wszystko to jéj było wolno. Bo téż panna Anna miała wielkie cnoty. Dwudziestu, czasami i więcéj biednych akademików, jadali u niéj darmo, niektórzy po lat kilka, a tak to zdawało się rzeczą prostą i naturalną, że nikt się temu nie dziwił bardzo, niektórzy zaś z młodzieży nawet wymyślać pozwalali sobie, kiedy im co było nie do smaku, lub nierychło podano. Oryginalną téż była poczciwa panna Anna do nieuwierzenia. Idzie naprzykład w niedzielę na koński targ i kupuje sążnisty wóz siana. Słońce doskwiera, tusza nielada — iść trudno, a była oszczędną i akuratną, na łaskę sprzedawcy porzucić wóz niepodobna; a więc każe się windować na sam wierzch i rusza sobie po głównych ulicach miasta. Trzęsie nieboraczkę straszliwie, na głowie tworzy się herezja, bo kapelusz złazi na sam tył głowy, następnie zsuwa się peruka, a z pod niéj wydobywają się w nieładzie kosmyki pozostałych jeszcze włosów i spadają na twarz — ale panna Anna ani dba! — Eustaszku, albo Rudolfie, jak się macie! woła z wysokości swojego siennego tronu do przechodzących ulicą pana hrabiego, albo pana marszałka i ci grzecznie ją witają, zaczyna się rozmowa, dowcipki, żarciki, śmiech pusty a głośny na całą ulicę.

Takie to były czasy w Wilnie, a choć wiele było klęsk i boleści, zawsze bodaj lepsze to jeszcze były czasy od Murawiewskich, albo Kaufmanowskich...

W późnéj jesieni r. 1838, między dwunastą a pierwszą w nocy, kilka osób biesiadowało u panny Anny w ostatnim maleńkim pokoiku, którego jedyne duże okno wychodziło naprzeciw dzwonicy kościoła św. Jana. Okno to było starannie zawieszone suknem, a wejście do tego pokoiku prowadziło wprost z sieni od dziedzińca jak plac długiego i szerokiego, tego samego dziedzińca, na którym książę Krzysztof Radziwiłł zgromadził do 10 tysięcy wojska, kiedy szedł wojną na Chodkiewiczów, w r. 1600, w pałacu których (późniéj Pusłowskich, dziś okręgu naukowego), przechowywano Zofję, księżniczkę Słucką, ostatnią Olelkiwiczównę, narzeczoną księcia Janusza, syna ks. Krzysztofa. Wejście więc do tego pokoiku było oddzielne, drzwi zaś prowadzące do wewnętrznych pokojów były zamknięte i dziurka od klucza czapką przykryta. Przy piecu, odlegle od okna, na stoliku paliła się jedna świeca i ta dla ostrożności zastawioną była od okna wazonem. Za stołem siedzieli oficer moskiewski i trzech cywilnych, ludzi poważnych; oficer zaś był młodziutki, bardzo przystojny. Na stole stała butelka z maderą. Rozmawiali po cichu, uściskali się czasami; można było dojrzeć łzę w oku, łzę rozrzewnienia i téj błogości, którą wywołać może tylko spokój sumienia przy życiu miotaném nawałnicą najstraszniejszych wypadków. Oficer widocznie był we wszystko wtajemniczony.

Wtém drzwi się otworzyły od sieni. Weszła panna Anna z latarką ukrytą. Przyniosła sygara, papier, kałamarz i pióra.

— Piszcie tymczasem do swoich — porozdaję najakuratniéj — ależ pijcie, dla Boga! Panie oficerze,

czemuż nie pijesz? — Potém cichutko wyszła ze swoją latarką. Oficer zapalił sygaro i usiadł pod oknem; inni wzięli się do pisania.

Na wieży Śto-Jańskiéj wybiła pierwsza. Zerwał się oficer i mówi do piszących po rosyjsku: „Co to jest, dla Boga? — Niespokojny już jestem!“ — Ci porzucali pióra, jak w tęczę patrzeli w oczy oficerowi, jak gdyby w nich zawierały się wyroki życia lub śmierci.

— Dla Boga! mniejsza o nas, ale cóż z panem będzie? — zawołali.

— „Ot tobie masz, już i stchórzyli, a bohatery! Co będzie? — Nic nie będzie — wszystko będzie dobrze — siadajcie, uspokójcie się, a pijcież, niechaj was, tchórze jacy! A uspokójcież się, proszę was — ot, pomódlcie się lepiéj, kiedy już tak tchórzycie, da, wypijcież jeszcze po kieliszku.“

Tak mówiła panna Anna, ponalewała kieliszki i znowu cichutko wyśliznęła się z pokoju ze swoją latarką, dodając tylko: — „spieszę do kuchni. Zaraz przyjdę.“

I rzeczywiście dodała otuchy. Blade twarze rozjaśniły się, oficer duszkiem wychylił kieliszek madery, niektórzy wzięli się znowu do pisania, inni z cicha rozmawiali z oficerem. Tak znowu upłynął dobry kwadrans. Oficer znowu zaczynał się niepokoić, najmniejszy szelest na ulicy zwracał jego uwagę.

Wtém nagle drzwi się otworzyły, pierwsza wpadła panna Anna z latarką, za nią wszedł trzydziestoletni mężczyzna, średniego wzrostu, pięknego oblicza. Za nim wszedł oficer nadzwyczaj szlachetnych rysów z dumném i myślącém wejrzeniem. Zerwali się wszyscy, rzucili się do przybyłych, całowali owego mężczyznę w twarz, w ramię, chcieli rękę całować, ale on ją wyrywał, witał uprzejmie, a taka słodycz, taka dobroć malowały się w jego pięknem obliczu, w jego jasnych błękitnych oczach, tak dźwięcznie do wszystkich przemawiał, tak ich serdecznie uściskał, jak gdyby to już było ostatnie pożegnanie przed śmiercią. Trwało to kilka minut. Panna Anna stała spokojnie — ale łzy strumieniami płynęły po jéj tłustych policzkach. A kiedy się skończyło powitanie, postawiła na stole swoją latarkę i rzuciła się do przybyłego. — „A dość-że już tego rozczulania się, królu ty mój, panie nasz najukochańszy, — precz tam z troskami — pokrzepcie się pierwéj — niegardźcie moją chudobą, czém chata bogata, tém i rada!“ — mówiąc to tak gwałtownie chwyciła za ramię przybyłego, iż osadziła go w fotelu, a późniéj porwała jego rękę i okryła ją pocałunkami, że ten nie mógł ani się bronić, ani sprzeciwiać. Przemówił tylko łagodnie i z dobrocią: „dobra panno Anno!“

Panna Anna wybiegła — ale pręciutko wróciła, dźwigając ogromną tacę z jadłem. Piętnastoletnia ładna dziewczynka Naścia (dóbrze potém znana w Wilnie, bo sama została gospodynią kawiarni) niosła drugą mniejszą tackę z butelkami. Ustawiły to wszystko na stole, a wszyscy uśmieli się mimowoli, widząc taką obfitość jadła. Były tu najprzeróżniejsze wódki, zaczynając od starki litewskiéj, kiełbasy i kiełbaski, szynka ogromna gotowana cieplutka, sielawa trocka marynowana, węgórz z Waki, sery Brochockiego i potrawki itd. itd. — „No mój królu, mój dobrodzieju, do was piję! — i gągnęła babula spory kielich starki, nalała drugi — podała razem z butelką i znowu znikła — ale wróciła w moment niosąc nową tacę, którą już na stołku ustawić musiano, a była na niéj przecudna rulada z prosięcia, kiszka biała i czarna i czego tam jeszcze nie było!

„No mój królu, mój dobrodzieju, jedz-że, proszę — mówiła panna Anna — a im nie dałam nic jeść, musieli czekać, wygłodzili się, ale i dobrze im — pfe! — tchórze! Już i stchórzyli! — Panowie Moskale dobrodzieje, proszę was do stołu — siadajcie, ot, jakkolwiek lokujcie się — a jedzcież, proszę was — wszak sama wszystko przyrządzałam!“

Ochoczo przystąpili do jadła, jakaś otucha, jakiś dobry humor przebijał się u wszystkich. Mistrz, jak nazywali nowoprzybyłego, szczególnie był wesół, jadł, śmiał się i zagrzewał innych do wesołości. Smakowała mu szczególnie sielawa trocka. Chwalił bardzo sér Brochockiego. Jadła zostawało jeszcze tyle, że dziesięciu głodnych mogłoby nasycić się, gdy znowu drzwi się otworzyły i panna Anna z Naścią przyniosły nowe specjały. Były to zrazy litewskie z wybornym sosem i kaszą greczaną ze szwedami, ogromny pieczony indyk nadziewany śliwkami, prosię pieczone nadziane arcysmaczną siekaninką, którą tylko na Litwie przyrządzać umieją, a bielutka i delikatniutka kapusta kwaszona, czyli jak tu mówią kiszona, z jabłkami i oliwą do indyka, wreszcie krem pozłocisty. Obecni wytrzymać już nie mogli i śmiechem parsknęli. Panna Anna nie zrażała się — owszém teraz już i sama do nich przysiadła, zachęcała, krajała, nakładała i podkładała, prawiła koncepta często rubaszne, ale zawsze dobroduszne i szczere. Wtém panna Anna skinęła na Naścię, ta wybiegła i w oka mgnieniu wróciła z inną znów tacą, na któréj były lampeczki srebrne i 3 butelczyny, jakieś stare, brudne, niezgrabne, pleśnią i kurzem pokryte.

— „Drogi nasz królu, mówiła panna Anna, ja wam nie dam zamorskiego wina, ale poczęstuję was dębniaczkiem litewskim, a dalibóg stary! Sama chodziłam do Kacenelenbogena, to dobry człowiek i znamy się nie od dziś — dał mi więc oto tę butelczynę 28-letnią, bo postawiona kiedy się on żenił, a te oto 2 buteleczki trochę starsze, bo to jeszcze ojciec jego postawił, kiedy on się urodził, a stary mówi, że ma teraz pod pięćdziesiąt, ale gdzie tam! łże, ma więcéj.

Dębniak rzeczywiście był doskonały, gęsty jak oliwa, a taki miękki, rozweselający i rozgrzewający, a głowa lekka, jak gdyby nic, nogi tylko trochę bezwładnieją.

Po godzinie jadła zostało jeszcze dużo, ale dębniaczku ani kropli.

Mistrz zamyślił się. Wszyscy umilkli — on wstał, wziął od panny Anny latarkę ukrytą, usiadł przy małym stoliczku, na którym leżał przygotowany papier i stał kałamarz i zaczął pisać. Wreszcie złożył dwa bileciki, na jednym napisał; „do mojéj matki“, na drugim „do kochanéj Emilji“ i oddał pannie Annie. Ta zawinęła w kawałek oddartego Kurjera Litewskiego i schowała na piersiach. Napisał jeszcze kilka bilecików króciutkich i oddał oficerowi, z którym przyszedł. Późniéj rozmawiał chwil kilka z drugim oficerem po cichu, a następnie z kolegami, z każdym z osobna. Zdawało się, widzisz przed sobą kapłana, który rozkazuje, pociesza, zagrzewa, a każdego namaszcza wielkością swéj duszy, niezłomną siłą woli i mocą charakteru. To téż każdy odchodził od niego rzeczywiście namaszczony, pokrzepiony, z nowemi siłami do nowéj walki, na nowe tortury i męczarnie.

Zbliżył się wreszcie do gospodyni, wziął ją za rękę i powiedział z uczuciem: Dzięki wam, dobra panno Anno! Znam was, poczciwe Litwinki, wiem, że robicie to z serca, że wam radość i szczęście przynosi, jak każdy dobry uczynek. Ale nie powiem, gdybym się nie bał o was. Oby to wszystko na sucho uszło — bo gdybyście jeszcze wy mieli ucierpieć za mnie — byłoby to zbyt boleśnie! — Niech was Bóg nagrodzi i pobłogosławi!

— „Dobrze już dobrze, wołała panna Anna szlochając, ale teraz wy mnie pobłogosławcie, przeżegnajcie mnie!“

Mistrz przeżegnał ją i pocałował w czoło. Ona porwała jego rękę, ale on się spostrzegł i nie pozwolił ucałować, wtedy panna Anna bez ceremonji rzuciła mu

się na szyję i pocałowała w same usta, przymawiając: „Otóż tak! — nie gniewajcie się tylko!“

„Dobrze, dobrze, zacna panno Anno! — No, ale pozwólcie, że wam przypomnę, iż jeszcze nie koniec waszéj gościnności.“

— A wiem — wiem! — A któryż z panów zastąpi? — Zwróciła się do oficerów.

Ci spojrzeli po sobie i po chwili namysłu powiedzieli, że idą oba.

Oficerowie wyszli — a zaraz potém weszli dwaj żołnierze, jeden już osiwiały z zamaszystym wąsem, drugi średniowieczny, a obaj udekorowani kilku medalami, starszy zaś miał do tego krzyż św. Jerzego za męztwo. Jak tylko weszli, oddali uszanowanie po żołniersku temu, którego mistrzem nazywano, a następnie skłonili się gospodyni i wszystkim obecnym. Mistrz i panna Anna posadzili ich i zaczęli częstować, ma się rozumieć nie zapominając o wódce i maderze.

Biła trzecia. Siwawy żołnierz zerwał się, zaczął dziękować uprzejmie, a chociaż panna Anna pospieszyła nalać kieliszki, nie dali się namówić, skłonili się i wyszli.

Oficerowie wrócili.

— „Nic z tego nie będzie — zawołała panna Anna, widząc, że już się zabierają do wyjścia — wypadła z pokoju i wkrótce wróciła z butelką szampańską.

„Co to, to już niepotrzebne, zacna panno Anno“, powiedział mistrz.

— Ha, bo myślicie, że to szampańskie — jeszcze by też co! Dla takich gości mam lipczyk kowieński szumiący.

Skoro kielichy napełniono i podano obecnym, mistrz zbliżył się do oficera starszego wiekiem, ścisnął dłoń jego i powiedział z widocznem rozrzewnieniem: „Ile zawdzięczamy tobie, bracie Sławianinie, mówić nie potrzebuję. Robisz to nie dla nas tylko, ale w imię idei, która tak samo drogą jest dla was, jak i dla nas; idei, która i po trupach naszych przejdzie i celu dosięgnie, a Rosjanie i Polacy podadzą sobie dłonie w imię jedności, braterstwa i swobody!

— Ażeby ta idea prędzéj być mogła urzeczywistnioną — potrzeba, ażebyś się zgodził nareszcie i nie tracił czasu śród katuszy — odpowiedział oficer.

— „Nie, bracie! Przedewszystkiém sumienie trzeba mieć czyste; jeżeli sądzisz, że moja swoboda na cośby się jeszcze przydać mogła, to pozwól ci powiedzieć, że pozbawiając ciebie téj swobody, pozbawiłbym wasz naród najdzielniejszego bojownika za swobodę! Nie i nie! Nie wyjdę z więzienia, skoro wiem, że to ciebie i tylu jeszcze innych ma zgubić, a inaczéj być nie może*).

Uściskali się — poczém wszyscy obecni rzucili się z kolei na szyję oficerowi. — Wreszcie pożegnali pannę Annę i wyszli.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

*) W życiorysie Konarskiego (Paryż, 1859) błędnie powiedziano, jakoby się zgodził na propozycję Korowajewa. Nie mógł się zgodzić — boby to nie zgadzało się ze znaną zacnością jego charakteru. Uwalniając siebie — gubił Korowajewa i jego wspólników. O uwolnieniu innych jeszcze więźniów, jak tam powiedziano, nie mogło być i mowy.

Obejść się, obyć się.

Piękną zaiste cechą wieku naszego jest dążność oczyszczania naszego języka; bo on po wierze św. pozostał nam jedyną spuścizną po wielkich przodkach naszych; dla tego to, skorośmy tracić zaczęli byt polityczny, natychmiast krzątać się zaczęto około języka, aby mu czystość zapewnić, powstawali przeto gramatycy i słownikarze jeden po drugim od czasów upadku aż do dzisiejszych: Kopczyński, Kleczewski, Bohomolec, Nowaczyński, Dudziński w dawniejszych czasach, a z nowszych Mroziński, Muczkowski, Żóchowski, Deszkiewicz, Linde i po wielu innych dzisiejszy nasz X. Malinowski najlepszym tego dowodem. Przeto sumiennym naszym obowiązkiem jest czuwać nad zachowaniem czystości naszego języka. A komuż to przypada owo czuwanie? Czy nauczycielom? Język polski z szkoły wyrugowany; a więc na barki pisarzy ten ciężar zwalony, a jeżeli i pisarze każą język, w cóż on się obróci? dla tego wołać trzeba a nie ustawać: Videant consules, ne quid detrimenti respublica capiat. Czuwajcie panowie pisarze, aby czystość języka przez waszą winę nie ucierpiała. — A wyznać potrzeba, że nie zawsze ci co piszą czuwają nad nią; że nieraz w tym względzie wielkie popełniają błędy. Dziwna to rzecz, że niektóre błędy tak się zagęściły, iż najsławniejsi pisarze nasi, co słyną z czystości i poprawności języka, nie są od nich wolni; są to niejako błędy wspólne, i dla tego tém bardziéj strzedz ich się nam wypada. Jeżeli Tygodnik Wielkopolski dozwoli gościnnie łamów swych spostrzeżeniom moim, to w tym względzie pozwolę sobie zamieszczać raz po raz uwagi mające na celu oczyszczanie języka naszego. Na dzisiaj weźmijmy słowa

Obyć się, i obejść,

które tak ze sobą mieszamy, że bardzo często bierzemy jedno za drugie, i żadnéj między niemi nie robimy różnicy, bo w zwyczaj nawet przeszło mówić i pisać: obejść się bez czego, zamiast obyć się; a tu tak łatwo zrobić różnicę, bo w słowie obejść się jest pierwiastek iść, chodzić; a więc obchodzić, obejść co lub koło czego, obchodzić się z kim lub czém; n. p. obejść gospodarstwo, znajomych; obchodzi mnie to, zamiast wysłowienia obcego: mnie to interesuje; — obchodzić się z kim źle lub dobrze. — Lecz w słowie obyć jest pierwiastek być, bywać, a więc obyć się lub obywać się bez czego; bez pokarmu obyć się nie podobna. Chociaż przeto znaczenie tych obydwóch wyrazów tak jest odmienne, jednakowoż pisarze najznakomitsi mieszają je z sobą i zwykle biorą obejść się zamiast obyć, jak to zaraz zobaczymy.

Już Krasicki przy końcu swéj Historji (Lipskie wyd. 1840, t. V, str. 246) ten błąd popełnia, mówi bowiem: Że zaś rodzaj takowych ludzi (poetów) bez pisania obejść się nie może, wyznaczyłem corocznie dla każdego 30 libr papieru, 3 garnce inkaustu i piór tuzinów 24. — Każdy tu teraz widzi, że bez pisania nie obejść się, ale obyć się poeci nie mogą.

Podobnie w Rozmowie VIII Lucjana mówi Cynik: Wszak nędza jest to niesposobność mienia tego, bez czego się obejść nie można. I daléj: Więc mi nie potrzeba sukien. Gdybym się bez nich obejść nie mógł, i ciało i nogi moje nie byłyby w właściwéj sobie porze. (Tom VII, str. 152 i 153). I tutaj obejść się położył Krasicki w znaczeniu obyć się.

X. Kajetan Tągoborski w kazaniu mianém 1763 r. bijąc przeciw nauce kacerskiéj, że bez grzechu niepodobna się obejść, popełnia ten sam błąd co Krasicki, używając słowa obejść się zamiast obyć, bo tu o obchodzeniu lub obejściu niema mowy. (Zob. Kazania i mowy wydane przez X. Jabczyńskiego 1857, str. 12).

I Aleksander Fredro w ten sam błąd popadł, albowiem w Panu Jowialskim (wyd. warszawskie 1871, t. IV, str. 170) mówi szambelanowa, że stary Jowialski bez licznego towarzystwa obejść się nie może.

Wł. Wężyk w rozprawie o Piotrze Kochanowskim i o genjuszu Tassa (w Przyjacielu Ludu, Leszczyńskim, 1842, t. I, str. 7) mówi, że w poemacie „Wyzwolona Jerozolima“ są oprócz wielu innych rzeczy anatomiczne opisy walk, cięć, postrzałów i razów, lecz to wszystko ściąga się tylko w naśladownictwie formy, naczynia, i jest rzeczą sztuki, którąby mogła obejść się jednak bez tego. Oczywista, że tu obyć się powinien był autor położyć.

Ten sam błąd popełnia Karolina Wojnarowska w Pierścionkach babuni (wyd. lipskie, t. IV, str. 167), gdyż pisze Marynia do babuni: A my bez posagu, jak tyle innych, obejść się możemy, zamiast oczywiście obyć się; bo jak można obejść się, obchodzić się bez posagu? to niedorzeczna.

I autor Parafiańszczyzny (Wrocław, 1843, t. I, str. 31) kładzie w usta Obrazka słowa malujące zepsucie niektórych warstw społeczeństwa naszego: A bez teatru i czytania książek obejść się można i żyć wygodnie. Teatr i książki, całe bibljoteki obejść można, ale bez teatru i książek obejść się... co to znaczy? — I dalej na str. 68 wytykając błędy świata wielkiego, mówi, że dla tego zowie się wielkim, bo z samych składa się wielkości: z wielkiego urodzenia, z wielkiego majątku i z wielkiego wychowania; bez wielkiego rozumu tylko obejść się może, zamiast obyć.

I nasz kochany Karol Dr. Libelt nie wolny jest od tego błędu. I tak w Pismach pomniejszych (wyd. poznańskie 1850, t. II, str. 58) w rozprawie; Demokracja, demagogja i arystokracja w znaczeniu u starożytnych, mówi: Wiadome jest wyrzeczenie jednego z ministrów policji francuzkiéj, że rząd bez policji, a policja bez śpiegów obejść się nie może. — W tomie VI masz o prelekcjach poznańskich, i tu na str. 82 czytamy: I rzekł Włodzimierz: Picie dla Rusinów jest rozkoszą i bez tego nie mogą się obejść. W obydwóch tych razach, wybaczy nam nasz Nestor uczonych, który jest chlubą naszą, popełnił błąd gramatyczny, biorąc wyraz obejść się zamiast obyć się.

I Kraszewski na ten sam zarzut zasłużył, albowiem w Tygodniku Drezdeńskim, Rok I, z 30 października, Nr. 44, str. 414, pisze sobie swobodnie: trzeba się obejść bez niéj... Ten sam błąd zachodzi w powieści: Czarna perełka, drukowanéj w Strzesze w roku 1869, i to nieraz, ale kilkakrotnie.

W ogóle wszyscy nowocześni nasi pisarze popełniają ten błąd bardzo często, mógłbym mnóstwo przytoczyć tu przykładów, ale ograniczę się tylko na dwóch pisarzach, t. j.

Józef Narzymski mówi wyraźnie w Pozytywnych: obejdzie się, obejdzie, — i

T. T. J. (Jeż) w Nihiliście: Czyż nie można było obejść się bez tego? i podobne wyrażenie powtarza się tutaj bardzo często.

Czyż więc ten błąd obejść się zamiast obyć się nie wszedł nam w krew i kości? iż go popełniamy sami nie wiedząc, że wielkiém jest uchybieniem przeciwko poprawności języka? Gdy tak znakomici pisarze, jakimi są Krasicki, Fredro, Libelt i Kraszewski nie wahają się pisać obejść się bez czego, zamiast obyć się, czyż nie widzimy jasno, jak ten błąd się zakorzenił i rozgałęził? Dla tego to nie mogłem już dłużéj wysiedzieć spokojnie; powstaję i wypowiadam wojnę, nie panom pisarzom, bynajmniéj, bo z takimi gigantami w piśmiennictwie naszém ja karzeł walczyć anibym się nie ośmielił; ale wypowiadam wojnę niewłaściwemu, błędnemu wyrażeniu: obejść się bez czego, zamiast obyć się; bo z pp. Autorami, którzy w ten błąd popadli, trzeba się obejść tak, jak tego ich zasługi wymagają; ale bez tego błędu obyć się można i trzeba.

X.

MAM DWA DOMY.

Fraszka sceniczna w 3 aktach

przez

Włodzimierza Wolskiego.

(Ciąg dalszy.)

Akt II.

(Dekoracja się nie zmienia).

Scena I.

Pani Damazowa i Kajetan (siedzą na kanapie).

Pani Damazowa.

Przeczytaj pan z łaski swojéj, poczciwy panie Kajetanie!

Kajetan (czyta).

Najukochańszy stryju!

Ledwie lat siedem i miesięcy cztery
Licząc; stryjaszka, co długo za krajem
Bywał i wrócił, jak synowiec szczery
Kochając, proszę nawzajem.

Pani Damazowa.

Bardzo sensowne, bardzo panu dziękuję.

Kajetan.

Pani Rachmistrzyni Dobrodziejko — drobiazg. (N. s.) Przez kilka godzin pracowałem jednak.

Pani Damazowa.

Aby tylko Fipcio zdołał prędko wyuczyć się na pamięć, (n. s.) bo pod względem łepka żywy portret ojca — tępawy. (Głośno). Możnaby wprawdzie dodać, że mu życzy zdrowia, pomyślności — ale i tak dosyć.

Kajetan.

Możnaby. Mógłbym, dodając co pani Rachmistrzyni życzy, przepisać w ładnéj girlandce gotykiem: najukochańszy stryju! tudzież rondem same wierszyki.

Pani Damazowa.

Zbyt pan łaskaw, poczciwy panie Kajetanie! Jakże się panu kapitan spodobał?

Kajetan (n. s.)

Zdrowie — w Krakowie. Pomyślności — jegomości.

Pani Damazowa (głośniéj).

Jakże się panu kapitan spodobał?

Kajetan.

Mówiąc prawdę, bardzo, bardzo...

Pani Damazowa.

Co do mnie — rozkochałam się w nim na prawdę.

Kajetan (n. s.)

Nic dziwnego! Kapitan posiadając majątek...

Pani Damazowa.

Prawdziwy wojskowy! Ślicznie musiał wyglądać w mundurze.

Kajetan (n. s.)

Pomyślności — okoliczności — dać pokój!

Pani Damazowa (głośniéj)

Ślicznie musiał wyglądać w mundurze...

Kajetan.

Uważając jednak dzisiejsze jego suknie, bacząc mianowicie, że w Paryżu robione, naprzód materjał nieszczególny a potém niezgrabnie leżą, tém dziwniéj, że kapitan mając dobrą figurę...

Pani Damazowa.

Podróżne. Przyszlą mu lada chwila walizę z rzeczami, zostawionemi na granicy. (Nagle). Poradź mi pan, poczciwy panie Kajetanie! Chciałabym ofiarować mu od siebie prezent niewielki: czapeczkę, pantofelek do zegarka albo kapciuch?

Kajetan.

Pani Rachmistrzyni Dobrodziejko! Nieśmiąc wyrzec stanowczego zdania, pospieszam jednak oświadczyć, iż posiadając kilkanaście wyborowych deseników na kanwę: w kratki, w palmy, w kostki, w paski — wszystkie na pani rozkazy.

Pani Damazowa.

Zbyt pan łaskaw, poczciwy panie Kajetanie!

Kajetan.

Dołączając prośbę.

Pani Damazowa.

Jaką?

Kajetan.

Żebym, doznając od panny Klementyny tylu odmów, raz przecie wiedział, czém jéj służyć, co lubi?

Pani Damazowa.

Co lubi? (N. s) Lubi tego hołysza, fanfarona, szlifibruka Stanisława...

Kajetan.

Może morele i brzoskwinie?

Pani Damazowa.

Albo co?

Kajetan.

Domyślając się, pani Rachmistrzyni! (N. s). Raniutko pobiegłem za miasto i kupiłem za trzy złote, lecz oni konfiskując mi wszystko, nic nie dostaną. (Głośno). Nieskończenie byłbym obowiązany pani Rachmistrzowéj.

Pani Damazowa (n. s.).

Nie wiem co upatrują w téj dziewczynie! Tylu się nią zajmuje. Wprawdzie i ja, za panieńskich czasów a nawet już za moim, kiedy miałam u siebie innych lokatorów... (Głośno). Poczekaj pan, poczciwy panie Kajetanie, wybadam ją kategorycznie.

Kajetan.

Z góry dziękując pani Rachmistrzyni Dobrodziejce...

Scena II.

Ciż i Wojciech.

Wojciech.

Bon jour bratowéj, bon jour panu!

Pani Damazowa (wstając).

Jak się kochany pan brat miewa?

Kajetan (wstaje, ustępując miejsca na kanapie).

Najgłębsze moje uszanowanie panu kapitanowi.

Wojciech.

Proszę niederanżować się. (N. s). Co za fatalna ekskursja! Gdyby nie Antek poczciwy...

Pani Damazowa.

Niechże pan brat raczy przy mnie zająć miejsce...

Wojciech.

Oui — a cygaro?

Pani Damazowa.

Dym od cygara bardzo zdrowy na kwiaty.

Kajetan (n. s.)

Wszystko teraz dla niéj zdrowe od kapitana.

Wojciech.

Zgasło. (Szukając po kieszeni). Nie mam alumetki.

Kajetan.

Pewno zapałki. (Przynosi w ukłonach zatloną zapałkę). Prosząc uprzejmie pana kapitana Dobrodzieja. (Ociera mu rękaw). Nieco kurzu.

Wojciech.

Merci — merci.

Kajetan (z cicha do p. Damazowéj).

Idąc na miasto, nabędę girlandkę, wstążeczkę błękitną i zaraz gotykiem tudzież rondem.

Pani Damazowa (z cicha).

Dziękuję panu nadzwyczajnie, poczciwy panie Kajetanie! (Głośno). Nie zapominaj pan, że mąż na pana czeka wkrótce...

Kajetan.

Pamiętając i zarazem żegnając panię Rachmistrzynię oraz pana kapitana Dobrodzieja (odchodząc n. s.) Ach — mój Boże — gdybym mógł się dowiedzieć co lubi! —

Scena III.

Wojciech — Pani Damazowa.

Pani Damazowa.

Poczciwy chłopiec! Regularny, nabożny, pobiera znaczną pensję, posiada przytém nieco swojego. W samo prawie mąż dla Klimci — a zakochany na zabój.

Wojciech.

Oui — mais — a ona w nim?

Pani Damazowa.

Nie zawsze szczęście z tym, w kim się kocha.

Wojciech.

Nie wierz bratowa! Jak się kochają w marjażu, szczęśliwsi od ryszarów, chociaż czasem krucho z monako, brak na luaje, dine i supe.

Pani Damazowa.

Jakto?

Wojciech.

Brak niby czasem na pierwsze potrzeby.

Pani Damazowa.

W takim razie mąż niedołęga.

Wojciech.

Oui — w kraju, u siebie łatwiéj, ale za granicą, między etranżerami, znacznie trudniéj, wierz mi bratowa! —

Pani Damazowa.

A pan miał téż kiedy zamiar żenić się?

Wojciech.

Ma foi — nie. Dosyć samemu biedę klepać, na cóż jeszcze kobiétę narażać na mizer?

Pani Damazowa.

A teraz?

Wojciech (śmiejąc się).

Eh bien teraz? Cóż? (po chwili). Jużem za stary.

Pani Damazowa.

Co znowu! Żona byłaby z panem bardzo szczęśliwa. —

Wojciech.

Czemu?

Pani Damazowa.

Kobiéty bardzo lubią prawdziwych mężczyzn.

Wojciech.

Jakto? Prawdziwych?

Pani Damazowa.

Tak... bo mężczyzna mężczyźnie nie równy. (Nagle) Zauważaliśmy z Daziem, że nasz Fipcio bardzo do pana podobny, widocznie musiał wdać się w dziadka. Nadzwyczaj się cieszę, obiecuje przystojnego bardzo chłopca — jak stryjaszek.

Wojciech (z uśmiechem).

Blaga — moja bratowo!

Pani Damazowa.

Właśnie przed chwilą wspominałam panu Kajetanowi, jak pan ślicznie musiałeś wyglądać w mundurze ułańskim.

Wojciech.

Jak drudzy.

Pani Damazowa.

Nie każdy do munduru stworzony, (n. s.) na ten przykład: mój albo Kajetan. (Głośno). Niechże pan brat siada bliżéj, proszę nie robić żadnéj subjekcji z cygarem. (Niby nieśmiało). Nieraz przedtém myśląc o bracie, wyobrażałam sobie pana inaczéj; tymczasem fizis pańska tak mnie uderzyła, że gotowa-bym rozkochać się, gdybym...

Wojciech.

Merci, kochana bratowo, za kompliment. (Całuje ją w rękę).

Pani Damazowa.

Nie kompliment — panie kapitanie! Siadaj-że pan brat bliżéj z łaski swojéj, bez ceremonji. Jakiś pan zamyślony — co za powód? Proszę powiedzieć.

Wojciech.

Ma foi — bratowo — wszystko tu diablement zmienione u was w Warszawie. Robiąc dzisiaj ekskursję po mieście, zaszedłem do Mirowskich koszar, gdzie za moich czasów stali szasery nasi. Teraz żandarmiska w błękitnych mundurzyskach wytrzyszczali na mnie szkaradne ślepie, gaworząc po rusku.

Pani Damazowa (wzdychając).

Tak — tak — bracie!

Wojciech.

Zaszedłem potém do naszéj szkoły podchorążych kawalerji na Królewskiéj ulicy. — Domisko obdarte, brudne, magazyn jakichś marchandises. Wsiadłem do fjakra i kazałem jechać do Gwardjackich koszar. Siwy, stary już cocher nie zrozumiał mnie z początku, kiedy wyeksplikowałem, spojrzał zdziwiony, kiwnął głową i zawiózł do cytadeli.

Pani Damazowa (wzdychając).

Tak — tak — bracie!

Wojciech.

Batiment obrzydliwie wygląda między innemi koszarami, ani śladu owych Faworów nad Wisłą, gdzie śliczne były promenady. — W koło rempart, mur czerwony, kazamaty; gdzie kościołek żoliborski — teraz cerkiew.

Pani Damazowa.

Tak — tak — niestety!

Wojciech.

Foule sołdatów w burych płaszczach, z figurami dającemi na nerwy i oficerków w opiętych tiunikach. Ma foi — słyszałem kilku mówiących po polsku.

Pani Damazowa.

Tak jest... tak, tak... kapitanie!

Wojciech.

Wracając à pied do miasta, zapalam cygaro na ulicy, aż tu sergent, policjant, z rąk mi wydziera, ciska w ruisseau, wrzeszcząc: nie wolno! My — żołnierze i uwrjerzy, chociaż już starzy, mamy jeszcze nie złe pięście, zaświerzbiało mnie i chciałem zaadministrować mu uczciwe coup, na szczęście stary Antek chwycił mnie za rękę, dał kilka susów sierżantowi i ułagodził aferę.

Pani Damazowa.

Co za Antek?

Wojciech.

Antek? Ma foi. (N. s) O mało com się nie wybajał. (Głośno). Jeden dawny mój kamrat, którego tu spotkałem. — Trzęsąc się więc z gniewu, aż mi bile poszła do gardła, wstępuję do kafe, do cukierni na dmitaskę z ptiwerkiem.

Pani Damazowa.
Cóż to za trónek?

Wojciech.
Dmitaska kawy z ptiwerkiem konjaku.

Pani Damazowa.
Czy pan brat lubi kawę?

Wojciech.
Moja bratowo! Dla emigranta cygaretka z kaporala i dmitaska z ptiwerkiem — to raj.

Pani Damazowa.
Przepraszam brata. (Wołając). Kasiu, Kasiu!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

PRZEGLĄD LITERACKI.

O kawał ziemi — powieść przez Michała Bałuckiego — odbitka z „Kraju". Kraków. 1872.

Literatura nasza nie tylko na polu naukowém ale i belletrystyczném znajduje się obecnie w stanie duchowego ubóstwa i moralnego rozprzężenia. Nie możemy się wprawdzie uskarżać na niedostatek pod względem ilości publikowanych utworów, lecz na ujemną jakość znacznéj ich części.

Przyczyny tego stanu rzeczy są rozliczne, do głównych jednak, zdaniem naszém, zaliczyć można trzy następujące: 1) Obieranie zawodu literackiepo przez wielu młodych ludzi niepowołanych, nieprzygotowanych należycie, sądzących, iż promyczek imaginacji i szczypta dowcipu starczą za gruntowną wiedzę i praktyczną znajomość świata — 2) Lekceważenie zawodu ze strony wielu autorów zasłużonych i głośnych, piszących z jakimś febrycznym pośpiechem, jakby jedynym ich celem było zatrudnianie zecerów i machin drukarskich i 3) Niedostateczne wyrobienie się nowego realistycznego kierunku w powieściopisarstwie, który biorąc coraz to silniéj górę nad czystym idealizmem, nie doszedł jeszcze do samowiedzy i błąka się luźnie często na oślep po manowcach.

Piękno istnieje nie tylko w pojęciu oderwanem, idealnem, ale i w życiu praktycznem — cała zatém różnica zachodząca między kierunkiem czysto idealnym a realistycznym polega na tém, że w pierwszym przeważa pierwiastek fantazji artystycznéj, w drugim zaś analiza życia i jego stosunków tak jak się nam one przedstawiają. Można przecież zająć stanowisko realistyczne, można bez przesądnéj obawy korzystać z uczonych badań pozytywistów a przecież nie popaść w skrajne zapędy Helvetiusa lub zwierzęcy materjalizm La Mettrie i Holbacha. Nie wszyscy jednak z nowszych pisarzów umieli przejąć się rozumnie treścią kierunku, który bezwiednie przybrali, a szukając rzeczywistości w brzydocie tylko, potworzyli owe koszlawości budzące w czytelniku wstręt, zadające nie małą klęskę ojczystéj literaturze.

W obec takiego stanu rzeczy doznaliśmy wielkiéj przyjemności czytając nowe dzieło p. Bałuckiego, świadczące o nagłym zwrocie i niezmiernym jego postępie.

Powieść „O kawał ziemi" wolną jest zupełnie od owéj goryczy i namiętnych porywów, które cechowały burzliwą epokę Elpidona, różni się ona również wybitnie od następnéj epoki, w któréj p. Bałucki uganiając się na scenie za jaskrawym efektem nie gardził potworkami produkowanemi w „Radcach", „Na łonie ustawy" lub w „Pracowitych próżniakach". W powieści „O kawał ziemi" poznajemy w p. B. wytwornego pisarza, myśliciela stojącego na wysokości bieżących potrzeb, rozumiejącego głęboko żywotne zadania dzisiejszego społeczeństwa, malującego jego obraz szerokiemi linjami na podstawie rozumowéj analizy. Powieść p. B., o któréj mówimy, napisaną jest ze stanowiska takiego właśnie zdrowego realizmu, o jakim powyżéj wspomnieliśmy, nie zbacza ona na krańcowe bezdroża, lecz dotyka pulsów życia w stanie normalnym.

Praca, kierowana rozumem praktycznym starego Szmita i wiedzą syna jego Adolfa, potrzebuje coraz to większych przestrzeni, na którychby się coraz rozległéj urzeczywistniać, na którychby siły przyrody ku celom ludzkim naginać mogła. Na przeszkodzie stoi jéj niedołęstwo, przesąd i gnuśność używającego artystycznie barona, wzbraniającego się ustąpić Szmitom kawału ziemi potrzebnego im dla rozszerzenia fabrycznego przemysłu. Wyradza się ztąd walka i tysiączne jéj fazy, tworzące treść powieści. Treści téj nie podajemy, przekonani, że czytelnicy z oryginału poznać ją zechcą. — Charaktery działających osób wykończone są w ten sposób, że podziwiać należy wielokrotnie dar spostrzegawczy autora. Taki n. p. Adolf i Zofja, to osoby wyjęte żywcem z naszego świata wychowanego w nowych zupełnie pojęciach, którym pod względem rozumu i zacności nic zarzucić nie można. Adolf, to pierwsza w literaturze naszéj kreacja typu bohatera, jakim go chce mieć współczesność, to człowiek dający przykład z własnéj osoby na każdym kroku, skromny i pracowity jak mrówka miljoner, umiejący godzić interes własny z interesem pracujących w zakładach fabrycznych robotników, w sposób prosty, praktyczny i przynoszący obu stronom istotny, na cyfrach sprawdzony pożytek. Adolf to człowiek niepojmujący poświęceń w teorji, lecz pełniący zasadniczo obywatelski obowiązek, choćby, jak się to w powieści dzieje, przyszło mu narażać własne życie i mienie. Stworzenie takiego Adolfa przynosi zaszczyt panu Bałuckiemu.

Osoby z przeciwnego obozu skreślone są również umiejętnie i, co ze względu na przeszłość autorską p. B. zasługuje na szczególne uznanie, bez przesady, bez namiętnych uprzedzeń i karykaturowania.

Widocznie, że od napisania „Starych i młodych" dzieli autora lat kilka, lat kilka badawczéj pracy i doświadczenia. — Na osobach tych demonstruje autor z całą ścisłością anatoma, umie jednak być wyrozumiałym i objektywnym. Baron uosabiający zastój postępowy, pańską dumę idącą w parze z sybarytyzmem i pracowitém próżniactwem, przeprowadzony został z takiem umiarkowaniem i przekonanym tak jasno, że kierunek, którym postępuje, nie ma już racji bytu, że osobistość jego staje się dla czytelnika zajmującą a w końcu nawet sympatyczną.

Postacie Maurycego i Ireny są wprawdzie anomaljami — anomalje takie przecież nie należą w społeczeństwie naszém do niepodobieństw. Niestety tartiufy poetyzmu i tartiufy dostojności kobiecéj istnieją i bodaj istnieć będą długo jeszcze. Stanowią oni osobny rodzaj Pseudów wpraszających się gwałtem na znakomite pióro autora „Plotek i prawd". P. Bałucki dał w powieści, o któréj piszemy, trafny bardzo obraz ich życia i czynów, nie zdzierał, lecz uchylał delikatnie téj łudzącéj pozorem maski, pod którą kryje się naga rzeczy-

wistość, brzydka lecz przestrzegająca, dająca do myślenia.

Podniosłszy zalety powieści p. B. wskazać musimy na strony ujemne, choćby tylko w kilku słowach, które nie wątpimy sam autor uzupełnić sobie zechce.

Główną a ważną wadą jest niedostateczne, naciągane motywowanie takich wypadków, od których dalszy rozwój akcji zależy — dla przykładu przywodzimy ugrupowanie okoliczności towarzyszących zniknięciu i odszukaniu córki barona. — To istna przypadkowość. Drugą wadą, nie tyle już organiczną, są niektóre jaskrawości obrazowania, takie n. p. coups de théâtre jak scena w altanie Maurycego z Ireną, jak pierwsze têteà-tête Adolfa z Zofją w ogrodzie, lub starcie się Szmita z baronem.

Wiemy bardzo dobrze, że zdarzają się często wypadki w rzeczywistości, które wydałyby się nieprawdopodobieństwem, gdyby je opisano w powieści. Okoliczność ta nie tylko nie powinna uwalniać autorów od ścisłego uzasadniania produkowanych faktów, lecz przeciwnie zmuszać ich do przestrzegania naturalności i prawdopodobieństwa.

Ella, powieść przez Kazimierza Chlędowskiego — odbitka z „Kraju“. Kraków, 1872.

Pan Chlędowski, równie jak p. Bałucki należy do pisarzy szkoły realistycznéj, zachodzi jednak między nimi niezmierna różnica. P. Bałucki świadomy obranego kierunku analizując życie społeczne w normalnym stanie, poucza swoich czytelników i sprawia im przyjemność. P. Chlędowski zaś błąka się jeszcze po manowcach a kreśląc, nie bez pisarskiéj biegłości, wydzielające się ze zdrowego społeczeństwa postacie moralnych kalek, drażni nerwy i upaja szkodliwym narkotykiem.

Wiemy dobrze, że powieści jego chętnie są czytane, ale zauważyliśmy również, że czytelnik odłożywszy zwykle jednym ciągiem przeczytaną książkę, uczuwa pustkowie w piersi, silny zamęt w głowie i t. p. symptomata gorączki po bezsennie strawionéj nocy. Przyczyną tego jest zetknięcie się z bohaterami i bohaterkami utworów p. Chlędowskiego.

Postacie te brane z osobna, są upośledzone na duchu, wzięte zaś zbiorowo, stanowią bardzo mięszane towarzystwo.

Zapoznajmy się z bohaterką a przez nią z resztą.

Przedewszystkiém dowiedzmy się, kto ją rodzi?

Babka uciekłszy od męża, powiła z domniemanego małżeństwa córkę, która znaleziona w mroźny dzień na ulicy i wychowana na folwarku, wyszła za mąż za rosyjskiego generała Ignarewa. Związek ten uszczęśliwił świat Ellą — naszą heroiną — Spisawszy tak polecający rodowód, zapoznaje nas autor z „pełną życia, pełną namiętności, pełną kobiecéj siły — skończenie piękną“ Ellą jako już dorosłą panną, zakochaną po uszy w Cezarze Mielnickim.

Ten pierwszy przedmiot serdecznych zapałów naszéj bohaterki nie może nam być obojętny. Barczysty, bogaty, odważny do zuchwalstwa, wodzący rej zarówno na jarmarkach i wyścigach, jak przy kielichu i puli faraona pan Cezar, nie wydziedziczony jest bynajmniéj z wyższych pragnień — marzeniem jego jest hrabstwo galicyjskie potwierdzone w petersburgskiéj heroldji. W obec tak szczytnego celu któżby przebierał w środkach — fałszowane dokumenta i wpływy ojca Elli zrobią swoje. Tak powiedział sobie p. Cezar i tak postąpił. Podczas gdy najęty pismak podrabia drzewo genealogiczne, on sam pozornemi zabiegami o rękę zakochanéj Elli kaptuje jéj ojca. Lecz sprawa nie udaje się, Cezar rzuca Ellę, ta zaś z rozpaczy jedzie z matką za granicę.

Jedźmy za nią.

W Teplitz-Schönau poznaje poszóstnego miljonera w osobie krymskiego księcia Worlicza. Dziki jak pantera, zazdrosny jak Otello, olbrzymi i silny jak toreador jaki, rozkochuje się w Elli ów krymski potentat i robi dla niéj nieskończone szaleństwa. Po długiém wahaniu decyduje się szlachetna dziewica zaślubić księcia nie z miłości, lecz przez zemstę dla świata za niewierność Cezara.

„Wydam wojnę uczuciu, wydam wojnę światu...“ pod tą banderą żegluje Ella z matką i Worliczem do Paryża, żyje tam na jego koszcie (czy także przez zemstę), odchodzi dwa razy od ołtarza i wyjeżdża do Drezna. Worlicz strzela sobie w łeb z rozpaczy a Ella zakochuje się w księciu Borghese.

Ten Borghese jest sobie po prostu przebranym i ucharakteryzowanym na księcia berlińskim „Bauernfängerem“, vulgo kieszonkowym złodziejem z powołania a mordercą z potrzeby. W drezdeńskich salonach robi on furorę, damy wielkiego świata, które zręcznie okrada, zazdroszczą Elli takiéj partji — ślub ułożony... Policja wpada na trop dawno poszukiwanego zbrodniarza i znajduje go w osobie ks. Borghese.

Wypadek ten i śmierć matki wywierają wpływ na Ellę, która w parę lat potém wychodzi za mąż za jakiegoś poczciwca, który zbankrutowawszy na artystyczném używaniu w Galicji, osiadł w Dreznie. Późniejsze losy Elli skreślił autor w kilku rysach, dopełniających tę powieść, która po powyższém streszczeniu i wstępném słowie obejdzie się bez dalszych uwag.

TEATR.

Machina repertoarowa z ubiegłego tygodnia nie przedstawia nam nic godnego podniesienia; wielkie koło dramatyczne stanęło a małe tryby wygniatały same tylko mięszaniny drobnych fraszek i mniéj lub więcéj udatnych jednoaktowych komedyjek. Artystyczne kierownictwo nie ustało jednak w pracy i wzorowéj dbałości o dobro sztuki i przyjemność publiczności, przygotowując bowiem wystawę kilku nowych poważnych utworów, zapoznało nas tymczasem z dwoma głównemi siłami ze składu personału operetki.

Pisząc to, mamy na myśli dwa debiuta: panny Marji Macharzyńskiéj, sopranistki i p. Eibla, barytonisty.

P. Macharzyńska wystąpiła po raz pierwszy w międzyaktach i pozyskała od razu najzupełniejsze, niezwykłe u nas uznanie, do którego przyłączając się z naszéj strony, winszujemy dyrekcji pozyskania téj artystki, która odśpiewaniem Recitativa i arji z „Łucji de Lamermoor“ oraz piosenki „El Negrito“ Barbierego, dowiodła, że nietylko posiada obszerną skalę głosu wyrobionego w dobréj szkole, ale umie nim władać umiejętnie i z wdziękiem.

Pan Eibel przedstawił się również z jak najlepszéj strony w operetce Offenbacha „Skrzypce zaczarowane“, napisanéj przez maestra w owych jeszcze czasach, kiedy trywializmy „Pięknéj Heleny“, Sinobrodego“ e tuti quanti nie pochłonęły czystych natchnień artyzmu.

Zręczna, pełna melodji Introdukcja rozpoczyna główny motyw operetki, rozprowadzony następnie w Rondo. Następuje po niéj humorystyczna piosnka

Antosia i figlarna piosnka Żorżetty, po nich zaś duet, w którym Offenbach zdradzając wprawdzie skłonność do trywialnego rytmu, umiał jednak utrzymać naiwną wesołość dwojga zakochanych. — Rondo śpiewane przez starego Szymona należy bezspornie do szczęśliwszych pomysłów autora. Tęskną i rzewną melodję przerywa po trzykroć wesoła przegrywka, jakby wspomnienie lepszych czasów młodości, tak, że uniesiony niém starzec zapomina o brzemieniu cierpień i kończy smętny swój śpiew wesołą nutą przegrywki.

Duet Szymona z Żorżetą mieści w sobie wiele ognia i dowcipu, a w tercecie finałowym okazał kompozytor istotny dramatyczny talent. Widnieje on nietylko w zręcznych i śmiałych modulacjach, ale i w umiejętnéj instrumentacji, na którą w następnych dziełach maestro nie tyle już zwraca uwagi. W wykonaniu téj operetki na naszéj scenie, odróżnić należy dwie strony: niesłychaną nieudolność czy niedbalstwo orkiestry, którą przecież na pasku prowadzić niepodobna i godne uznania produkcje artystów. —

Panna Macharzyńska (Żorżeta) pokonawszy rozliczne trudności swéj w wysokim stopniu niewdzięcznéj partji, walcząc przeważnie średniemi tonami przeciw prądom nad miarę silnéj instrumentacji, odniosła ponowne zwycięztwo, którego plonem był istny deszcz kwiatów i grom oklasków.

Pan Eibel (Szymon), o którym już wyżéj wspomnieliśmy, miał najwdzięczniejsze zadanie, wywiązał się też z niego jak przystało na wyrobionego i posiadającego piękny i dźwięczny głos artystę.

Pan Molski (Artur) śpiewał barytonem partję napisaną dla tenoru z zupełném powodzeniem. Zaletą jego jest nietylko siła głosu, ale i dobre jego wyszkołowanie, wadą zaś zbytnie nieumiarkowanie w forte, unoszące go daleko po za granicę stopniowań i cieniowania.

Dyrektorem naszéj operetki jest p. Stefan Krzyszkowski, znany w Warszawie ze zdolności kompozytor i artysta-muzyk. Z uwerturą jego do dramatu Wacława Szymanowskiego „Salomon" zapoznamy się niebawem przy wystawieniu téj sztuki.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE
o
RZECZACH POLSKICH.

Dowiadujemy się, iż wkrótce ma wyjść w Krakowie na widok publiczny Wykład „Higieny zastósowanéj do potrzeb życia osobniczego i społecznego oraz do rzeczy krajowych". Ułożeniem tego dzieła zajmuje się znany już z kilku higienicznych prac Redaktor „Przeglądu Lekarskiego" **Dr. Lutostański,** któremu zawiązana niedawno „Współka Wydawnicza" powierzyła tę pracę, spodziewając się, iż nie zawiedzie jéj oczekiwań.

O ile wiemy Dr. Lutostański zamierza odpowiedzieć swemu zadaniu, opierając się w wykładzie na znanych pracach: Levy'ego, Oesterlena, Parkesa i Reicha.

* * *

Rozmaitości:

— **Akademicy krakowscy** mieli w ubiegłém półroczu następujące odczyty:

1) Nałkowski Wacław; „O wpływie położenia geograficznego na charakter narodów, na cywilizację i w ogóle na dzieje."
2) Łętowski Józef: „Pogląd krytyczny na dzieło Drapera p. t. Historja rozwoju umysłowego."
3) Rosenblatt Józef: „O konstytucji 3go maja."
4) Szydłowski: „Oktawian-August."
5) Prochaska Teofil: „Instynkt i rozum."
6) Grudziński Stan.: „Z przeszłości."
7) Bartoszewicz: „Hrabstwa w Polsce."

* * *

— **Jakób Mościcki**, kandydat medycyny, wynalazł przyrząd do leczenia złamania kości dolnych i górnych kończyn. Przyrząd ten był wypróbowany w klinice uniwersytetu warszawskiego, a następnie z polecenia namiestnika w szpitalu Ujazdowskim przez znawców, którzy przyznali p. Mościckiemu oryginalność wynalazku i pożyteczność jego szczególniéj w czasach wojennych.

* * *

— W akademji nauk w Paryżu na posiedzeniu 24 sierpnia b. r., p. Daubrée zdawał sprawę z prac i odkryć mineralogicznych w Chili, dokonanych przez znanego mineraloga, rodaka naszego, **Ignacego Domejkę.** Przedstawił zbiór minerałów ofiarowany przez niego dla szkoły górniczéj, i proponował, aby akademja przesłała mu podziękowanie. Na to powstał p. Elie de Beaumont, przypomniał kolegom zasługi Domejki na polu naukowém, i wniósł, aby akademja w zbiorze uczonych cudzoziemców kazała umieścić imiennie wszystkie minerały odkryte przez naszego rodaka. Wniosek ten jednomyślnie przyjęto. Przeciwnie akademja nauk, na następném posiedzeniu, odrzuciła propozycję mianowania Darwina członkiem korespondentem wydziału nauk przyrodzonych. Największym przeciwnikiem téj nominacji był uczony pozytywista dr. Robin, a największym zarzutem to, że Darwin luźne hypotezy podaje za pewniki naukowe. (Kr.).

* * *

— † Donoszą Dziennikowi Poznańskiemu z Drezna, iż tamże w dniu 22 b. m. umarł bar. **Teodor Firks**, znany z licznych broszur politycznych, a mianowicie: „Co zrobimy z Polską", „O nihilizmie" i innych, wszystkich wydanych pod pseudonimem **Schedo Ferrotti.** Zmarły był radcą stanu i urzędnikiem w ministerstwie skarbu; za granicę wysłanym był w r. 1864 jako komisarz rządowy do spraw finansowych. Po upadku wszakże Gołowina i Wałujewa, a pozyskaniu stanowczéj w rządzie rosyjskim przewagi braci Milutynów, otrzymał dymisyę i od lat kilku mieszkał w Dreznie. Rodem był z prowincji Nadbałtyckich.

* * *

— † Dnia 6 października umarł w Krakowie artysta-muzyk **Andrzéj Kratzer**; — w Pogutkach X. **Keller**, wydawca „Pielgrzyma."

* * *

— Na grobie ś. p. **Karola Szajnochy** we Lwowie wzniesiono pomnik pomysłu p. Filippiego a wykonania p. Periera. Jest on w kształcie piramidy z orłem na szczycie, w pośrodku popiersie znakomitego historyka, u podstawy zaś allegoryczne figury.

* * *

— Jenerałowi **Janowi Henrykowi Dąbrowskiemu** wystawiono we wsi Pierzchowcu w Krakowskiém, gdzie się miał rodzić dnia 2 sierpnia 1755 roku, obelisk na czworogrannym piedestalu dwadzieścia stóp wysoki, z godłami Polski i Litwy, z napisami z jednéj strony: „Jeszcze Polska nie zginęła", z drugiéj: "pamięci Jana Henryka Dąbrowskiego." Na pozostałych dwóch stronach zamieszczone będą nazwiska bitew, w których Dąbrowski brał udział.

POKŁOSIE.

Bibliografja:

— **Darwin.** „Expression in men and animals." (O wyrazach fizjonomji u ludzi i zwierząt). — Jedno z pism zagranicznych donosi o niém, jakoby o popularniéjszém od innych dzieł tego autora. Na początku Darwin zajmuje się wyjaśnieniem ogólnych przyczyn, powodujących wyrazy twarzy i zmiany w fizjonomji; utrzymuje on mianowicie, że pewnemu usposobieniu wewnętrznemu towarzyszą zwykle odpowiednie ruchy mięśni twarzowych; ruchy te z czasem przechodzą w nawyknienie i powtarzają się następnie już nienależnie od tego usposobienia wewnętrznego, któremu pierwotnie za wyraz służyły.

Autor objaśnia swoją teorję licznemi przykładami i szeroko się rozwodzi nad środkami, którymi się zwierzęta niższego rzędu posługują dla wyrażenia tego co czują; wyszczególnia on i tłomaczy różne rodzaje wyrazów fizjonomji u człowieka i u zwierząt. — Marszczenie czoła w zmartwieniu, zaciśnienie warg dla wyrażenia stanowczości, wyraz pogardy, zarumienienie się itp. znajdują swoje wyjaśnienie w tém dziele, w końcu którego autor usiłuje wyświecić, do jakiego stopnia zamiar i wola przyczyniają się do przyswojenia podobnych ruchów.

— **Koerner, Th.** Der Beruf des Staates und der Gemeinde, in der socialen Frage. — Istniejące w cywilizowanéj Europie towarzystwa pomocy materjalnéj uważa autor za niewystarczające, ponieważ ta pomoc ograniczając się dotąd na bardzo szczupłych kółkach, nie posiada w téj mierze dostatecznych jeszcze środków skutecznego działania; ponieważ ani nie ogarnia, ani nie przenika wszystkich warstw społeczeństwa i nareszcie ponieważ nie posiada owych żywiołów organicznych, któreby wspólnie z organizmem państwowém na siebie oddziaływały.

— **Pfleiderer Otto** Dr. Moral und Religion nach ihrem gegenseitigen Verhältniss gechichtlich und philosophisch erörtert. Leipzig. Treściwy wykład stosunku między religją a moralnością, jako samodzielném utworem człowieczeństwa, od czasów greckich aż do obecnych. Wskazuje on, że etyka tkwi wprawdzie w religji, ale tak, że objawy moralności utrzymują w obec niéj stanowisko współrzędne, samodzielne i wyprzedzają nawet powstanie religji. Jest to więc autonomja, która się dawno należała etyce. Racjonalny pogląd na istotę tejże dawno już się domagał usamowolnienia jéj z pod władzy dogmatu i oparcia li na wewnętrznéj potrzebie duszy ludzkiéj. Zarówno ci błądzą, którzy usuwają etykę zupełnie z dziedziny religji, jak i ci, którzy uważając pierwszą wyłącznie za płód ostatniéj powiadają, że prawidła obyczajowe całą swą pewność i siłę czerpią z religji. (Św.)

— **Rüffer Eduard.** Die letzten Tage von Alt-Oesterreich, — historischer Roman. W formie powieści opisuje autor stosunki austrjackie z lat 1865, 6 i kończy na fatalnéj dla Austrji bitwie pod Królowemgrodem. Krytyka niemiecka przyjęła to dzieło z oburzeniem; i tak, pomiędzy innemi, rozpoczyna „Magazin für die Litteratur des Auslandes" swój artykuł poświęcony temu utworowi literackiemu: Edw. Rüffer, który przypatrzywszy się kampanji Garibaldego wyobraża sobie, że jest doskonałym strategikiem, Edward Rüffer, ów renegat niemiecki, który nie znając języka czeskiego, wydaje tygodnik wojskowy czesko—morawski, Edward Rüffer, ów napiętnowany niemiecki redaktor dziennika „Corespondance Slave" — Edward Rüffer wziął się do pisania powieści i. t. d.... Zmysł krytyczny i bezstronność opuszczają dzisiaj Niemców, skoro mają sądzić o rzeczach, które im nie przypadają do smaku; — w tym kierunku pójdą Niemcy jeszcze daléj!

* * *

Rozmaitości:

— W dniu 4 września odkryto w Medjolanie pomnik wystawiony pamięci **Leonarda da Vinci**, a 13go tego samego miesiąca w Monachium w królewskiéj lejarni odlano szczęśliwie posąg spiżowy sławnego obywatela i ministra włoskiego **Massimo d'Azeglio**. Znakomity rzeźbiarz Balzigo, wykonał model, a ponieważ nadzorca królewskiéj lejarni Ferdynand Miller, z powodu ciężkiéj słabości oczu nie mógł sam kierować pracami odlewu, przeto w trudném tém przedsięwzięciu zastępował go syn jego. Posąg niebawem wysłany zostanie do Włoch. (Kr.) — **I Tacyt** doczeka się w 1818 lat po swém narodzeniu pomnika. Jak donosi „Nazione" zebrał się w Terni komitet celem postawienia w tém mieście pomnika owemu rzymskiemu historykowi.

* * *

— Astronom rzymski ksiądz **Secchi** donosi w paryzkiém czasopismie „Les Mondes", że dnia 7 lipca b. r. zauważył na słońcu potężny wybuch wulkaniczny. Postać obłoków pary unoszących się nad powierzchnią słońca nader szybko się zmieniała, wysokość wytryskającéj kolumny dorównywała sześciu średnicom ziemi, czyli przeszło 10,000 mil geograficznych, całe zjawisko trwało około dwóch godzin. Rzeczy godne uwagi, że jednocześnie prawie na ziemi obserwowano zaburzenie elektryczne i magnatyczne: zorza północna była tak silna, iż widziano ją aż w Madrycie, a we wszystkich obserwatorjach magnetycznych narzędzia nader mo ne wskazywały perturbacje. (Wn.)

* * *

— Ostatnie przewroty polityczne w Hiszpanji, Włoszech i Francji popchnęły wiele kobiet znakomitego rodu do szukania chleba w pracy, zwłaszcza zaś na scenie opery lub w koncertach. Do liczby takich wielkości wykwintnego świata należy **margrabina de Santa-Jana**, była dama dworu ex-królowéj hiszpańskiéj Izabelli. Pani ta debiutowała w Neapolu w operze Herolda „Pré aux Clercs" w roli Izabelli, podczas tegoroczném zaś jesieni występować będzie w rzymskim teatrze „Apollo."

* * *

— Baron **Nataniel Rotszyld**, najstarszy syn bar. Jakóba Rotszylda z Paryża, zajmuje się spisaniem dziejów rodziny od czasu nagłego podniesienia się jéj w r. 1806 aż do upadku drugiego cesarstwa. Dzieło to zawierać będzie między innemi kilka nieogłoszonych jeszcze listów Napoleona I i innych znakomitych mężów tego stulecia, które zapewne wielkie obudzą zajęcie i przyczynią się do rozświecenia niejednego ustępu z najnowszych dziejów Francji i Europy.

* * *

Nekrologja:

— † **Włodzimierz Dahl**, zbieracz przysłowiów, pieśni i podań ludu rosyjskiego, autor Wielkiego słownika żywéj mowy wielkorosyjskiéj zmarł dnia 4 października w Moskwie, przeżywszy lat siedemdziesiąt.

Skrzynka do listów.

— P. Cieszymirowi z nad Dniestru: Wiersze pańskie dochodzą nas regularnie, ale cóżto za wiersze? — W „Obrazku górskim" piszesz Pan:

„Lecz powietrze za to balzamicznéj woni,
Nadto każde wzgórze zdroje z siebie roni.
One wciąż lud krzepią na Boga pamiętny,
Do wszystkiego zręczny, bardzo pojętny."

Wierz nam pan na słowo, że urywek ten jak i całość nie ma ani sensu, ani nawet pozoru poetycznéj formy. Oddychaj Pan sobie szczęśliwie tém balzamicznem powietrzem, którego Mu zazdrościmy, spisuj nawet, jeżeli się powstrzymać nie możesz, wrażenia swoje rymem i prozą — ale nie pokazuj tego nikomu, najmniéj zaś dziennikarzom, bo to strasznie złośliwy naród.

Paniom E. B. i L. W.: Nie wiemy wcale kto jest ów *L.*, wnosząc jednak z tonu i doboru wyrazów, którymi się posługuje, przypuszczamy, że musi być stróżem nocnym.

Panu K. R. w Lubece: h zamiast g jest pomyłką druku. Za każden list jesteśmy wdzięczni.

P. A... L... z Brodnicy: Przepraszamy za zwłokę. Książka pamiątkowa jest na ukończeniu — wkrótce rozesłaną zostanie.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.
W komisie M. Leitgebra i Sp. w Poznaniu.